

palenia). Zimą posypywało się nim ścieżki wydeptane w śniegu i wszelkie miejsca oblodzone. Chłopska gospodarność, przezorność i szacunek dla daru Boga, służącego człowiekowi w zamkniętym kole egzystencji. Od narodzin po śmierć.

Patrzę na zdjęcie Dariusza Pawlickiego umieszczone na skrzydełku okładki, a wykonane przez Ilonę Pawlicką, żonę pisarza. Zastanawiam się skąd w tym poważnym człowieku – fizjonomia myśliciela – odzianym w długi płaszcz i kapelusz – tak głębokie ukorzenie w ziemi przodków. I nasuwa mi się porzekadło „tam dom nasz, gdzie korzenie nasze”. Ale żeby to poczuć trzeba przebyć daleką drogę, wędrowkę za nauką, chlebem, miłością... Przykładem jest prof. Andrzej Strumiłło mieszkający niedaleko dziadków Pawlickiego w Maćkowej Rudzie. Po zabieganym życiu wykładowcy, artyści i dyrektora w różnych częściach globu, osiadł niedaleko ukochanej Litwy. Budując przystań dla artystów i hodowlę umiłowanych koni arabskich. Profesor często gościł w drewnianej chacie Dariusza. Snując opowieści o przemijaniu – że tak wiele chciałby jeszcze stworzyć! Kamienny Krąg w podwórzu nasycił przybysza dobrą energią, pozwalając piórem władać swobodnie bez zgrzytów i zacięć, jak lemiusz dziadkowego pługa. Odkładającego skibę za skibą, czarnej, tłustej ziemi. Z lejcamy zawieszonymi na szyi oracza. Pawlicki często trzymał te lejce i bat, poganiając deresza do szybszego marszu. Koń jednak człapał, człapał, kopyto za kopytem, podążał swoim rytmem... Bruzdą spacerowały wrony, wydriobując robaki. W oddali widać było rząd topoli. Rankiem przejeżdżała cysterna z mlekiem, potem autobus – „ogórek” – i od czasu do czasu osobówki, w większości na państwowych rejestracjach. Autobus o dwunastej określał porę dnia. Krowy zganiało do zagrod, pojono, dojono na południe. Zaprzęgi zjeżdżały z pół. Koń – atrybut siły i dobrobytu – mógł skosztować obroku i odpocząć w przewiewnej stajni, jak i gospodarz w zaciszu domu na murku kuchennego pieca, który Pawlicki opisuje niemalże z metafizycznym uniesieniem: – *Krąg domostwa staje się utracynym Jeruzalem, widzianym we wspomnieniach coraz wyraźniej z biegiem mijających lat.* Tu święte ręce babci Pawlickiego krzątającej się przy stolnicy, garnkach, piecu śmiejącym się uczciwością płomienia. Sapaniem ogromnego emaliowanego czajnika z wygiętym dziubkiem jak litera „s”.

Na własny użytek twórczego zamyślenia, sięgnąłbym nawet głębiej zamyślenia mitycznego – wyodrębnił porę dnia przedzmiernych. A ów trwa od zachodu słońca, to znaczy od momentu, w którym słońce chowa się za horyzontem, do zapadnięcia ciemności. Przedzmiernych poprzedza zmiernych, tak jak np. przedświt zapowiada świt, a przedwiośnie – nadejście wiosny. Z tym, że o ile przedświt, to są minuty, a przedwiośnie może trwać tygodnie, to wspomniana schyłkowa pora dnia – kwadrans.

Ukazuje przebogatą różnorodność: przyrody – sternika naszego życia, kultu chłopskiej pracy, jego silnego przywiązania do ziemi żywicielki, obyczaju świąt z jego

ludowością, obrzędowością i tradycją. Głębokiej więzi rodzinnej i sąsiedzkiej – mimo że konflikty były na porządku dziennym. A nawet sił nadprzyrodzonych czy nieczystych. Bo na wsi dawniej w wielu miejscach straszyło. Zwłaszcza tam, gdzie urzędowały znachorki, odcinano wisielców, bagna wyziewały gazy (latem języki płomieni). Z ogromnej tarczy słońca z jej wyglądu i „płynności” przewidywano pogodę na dzień następny z niebywałą precyzją. To odczytywali ludzie doświadczeni życiowo i dziadek Pawlickiego, z sądami którego bardzo się liczone.

Ważnym elementem rozważań eseisty są drogi. Zwłaszcza te polne gościńce, zarastające wszelakim zielskiem, zapomniane bądź popadające w zapomnienie. A przecież kiedyś nimi ciągnęły karety królewskie, dyliżanse pełne podróżnych, chłopskie furmanki zaprzężone najpierw w woły, potem w konie. Wyładowane zbożem, sianem, ziemniakami. Drewnem na budowę domostw i zagrod, na opał, kamieniem z okolicznych wyrobisk. Z trwałego materiału powstawały zajazdy i karczmy podróżne. Otoczakami utwardzano podwórze i dziedzińce, place przy kościołach i plebaniach. Szli tymi drogami – przywróconymi do życia w wyobraźni pisarza – wędrowcy i pątnicy do miejsc świętych, oczekując cudu i oczyszczenia. Przysiadali na przydrożnych głązach, pniakach, rowach, kontemplując otoczenie, odmawiając modlitwy, śpiewając kościelne pieśni. I tymi drogami ruszali ludzie w świat, wypędzeni z wiosek, dworów i przysiółków. Na wojnę i katorgę, skąd wracalo niewielu, starych, schorowanych, zapomnianych przez sąsiadów, rodziny w kolejnym pokoleniu. Tylko czasem łzy matek przypominały dawne historie. A katorżnik, stary wiarus opowiadał, gdzie leżą kości dziadów, ojców, wujów. Gdzie jest wielka woda, gorący piach, nieprzebyty las i ciągła zmarzlina. Widać w zbożu kapliczkę – ktoś zapalił w niej świeczkę – przy drzewie krzyż pokutny. W innym miejscu rzędy drzew, gdzieś indziej półka porosła gęstym krzewem oddziela pola orne. A ten mały, okrągły zagajnik, to rozwidlenie.

Sięgnijmy po książki Dariusza Pawlickiego – jest w nich na wyciągnięcie ręki to, czego szukamy daleko, często sówicie płacąc.

Głęboko wrył się w moją podświadomość szkic: „O drwach i ogniu”. Autor opisuje swoje uwielbienie patrzenia na ogień, ten nasz domowy ogień oswojony, który trawi drwa w kominku, piecu kuchennym. Kiedy jego luna roztacza się na sufit, figluje po jego powierzchni. W wielu stronach jest takie określenie „piec się śmieje” – dotyczy to tzw. „kóz” ustawianych w pokojach gościnnych w celu dogrzania sypialni, bądź innego pomieszczenia wymagającego więcej ciepła, zwłaszcza zimą. Staje przed naszymi oczami piec chlebowy z jego głęboką komorą, opalany dębina, grabiną, babcią na kłęczkach podsypująca szamotowe palenisko mąką, wkładająca na długiej, drewnianej łopacie, także posypanej mąką, w jego gardziel wyrośnięte buły ciasta. Ja lubiłem patrzeć na ogień w palenisku kuźni ojca – takich kuźni było wiele przy zapomnianych drogach. Na iskry metalowego żaru z

podków, siekier, lemiuszy, skaczące jak świetliki w noc świętojańską. Dawna tajemnica uplastycznienia metalu, przekazywana przez mistrzów z pokolenia na pokolenie.

Pawlicki przywołuje postać Prometeusza, który wykrada ogień bogom i uczy ludzi posługiwać się nim. Dosięga go za to gniew Zeusa, a za karę przykuty zostaje do zbocza jednego ze szczytów Kaukazu. Codziennie orzeł wyrывa wątrobę z jego ciała. Ta każdorazowo odrasta. Od męki uwalnia Prometeusza Herakles zabijając orła. Wszystko jednak ma swoją cenę. Za posiadanie ognia ludzie zostają ukarani puszką Pandory – jej zawartością – czyli wszystkimi nieszczęściami. Ogień to drwa, pokarm płomieni. Przygotowanie zapasów odbywało się przeważnie zimą przy wyrębie lasu. Dorodne modrzewie, sosny, świerki szły na więzby dachowe, podłogi, drzwi, okna. Dęby na krzesła, stoły, szafy, kredensy. Gorsze okazy tzw. „podsusz” przeznaczano na opał. Ale były wyręby typowo opałowe. Chłopi sami ścinali drzewa ocechowane przez leśniczego i układali w „metrowki” – metry ścieżkowe. Robota w lesie to jakby zimowe żniwa. Uczestniczyła w niej cała wieś. W ogromnych ogniskach palono zbędne gałęzie, Zgadzałem się z Pawlickim, że ten ogień kojarzy się z tymczasowością, bo jego zadaniem jest oczyszczanie terenu. Ale na tych ogniskach pieczono mięso, suszono ubrania, ogrzewano zmarznięte dłonie. Dawał światło pracującym po zmroku, chronił przed dziką zwierzyną. Był ogniskiem domowym poza domem. Ostoją. Drwa na opał to także porządkowanie sadów. Wycinka starych grusz, jabłoni, śliw, zmęczonych latami owocowania. Umierających na oczach gospodarza. Służących do końca jako paliwo pieca, ducha ciepła i bezpieczeństwa, a obecny w naszym życiu zawsze choć niezauważalnie. Niezauważalne jest dla wielu z nas otoczenie, zwłaszcza to, w którym żyjemy. Trudno jest znaleźć wolną chwilę, usiąść na przypadkowym kamieniu, jakich wiele. I zastanowić się skąd ów głąz tutaj się wziął. Chłopskie zabobony (filozofia) mówią o diable przenoszącym ogromne głazy, zaznaczającym teren objęty czarowską mocą; miejsca pożarów, w których całe rodziny spłonęły żywcem, topielców, samobójców niespełnionej miłości. A jaka jest prawda? Dariusz Pawlicki mówi: „Bez żadnej przesady mogę stwierdzić, że pod sobą mam Skandynawię. I to pomimo tego, że równocześnie dzielę mnie od niej setki kilometrów”. Głazy przeniósł lodowiec, a czas starannie je wygładził.

Widoczność naszą ogranicza mgła, którą opisuje w kolejnym eseju. Z tym, że zachwyca się jej niebieskością. Widokiem, chwilowym zauroczeniem. Owa mgła unosi się nad jeziorem, którego brzegi z trzech stron okala las. Podskórnie czuję obecność Świtezianki. I dużą romantykę – bo Pawlicki jest nim w każdym calu życia i twórczości – głęboko ukorzonego w filozofii, mitach greckich, rzymskich. Ale i tradycje Słowian, Bałtów nie są mu obce. Mgła w tekstach literackich zawsze zwiastuje coś tajemniczego, skrywającego, uosabia tajemniczość. Co może sprawić mgła mówi Haiku autorstwa Issy:

(Dokończenie na stronie 19)